

REALIZACJA MIGRACJI D.P. do U.S.A.

A w warunkach francuskich, gdzie istotnie ani robotnik, ani urzędnik końca z końcem związać nie mogą, taka licytacja może być straszliwie niebezpieczna.

IMPAS W MOSKWIE

dotychczasowego ustawodawstwa mia-
nastąpić w jesieni. Projekt ordynacji w-
borczej do Rady Republiki, nie odpowie-
dźnię postulatów Gaullistów.

Zwraca uwagę pewnego rodzaju ero-
zji w MRP. Dwóch członków tego stro-
niska głosowało przeciw projektowi Re-
ynauda. Wniosek wyrażał się od głosowań
Wrogi stosunek niektórych deputowanych
do Paul Reynaud odegrał tu główną rolę.
Zdecydowanej opozycji do rządów zna-
li się komunisty. Podczas dyskusji nad ust-
wą w Radzie Republiki, p. Zyromski (po-
chodzenia polskiego) oświadczył, że zwra-
uchwalenia projektu komunistów zwołan-
ego będą poza parlamentem. Oświadcze-
nie można zrozumieć jedynie jako groź-
bę, że powołany zostanie samiezsek. Do-
wodzi to, że szan. Paul Reynaud, są wię-
cie, niż by się tu mogło na pierwszy rz-
zaka wydawać. Wzmocnienie się frank-
francuskiego na giełdach międzynarodow-
wych, oraz wyraźna zwyższka renty 3% ro-
nież na to wskazuje.

Pierwsze dekrety nowego rządu, które
apodzielają się można z końcem tego mie-
sącza, będą miały decydujące znaczenie
dla Francji. Wzrost i spadek Europy Zachod-
nia, przetrwanie ich z pięćdziesiątą

Poziomica została zrobiona z dwóch butelek z wodą przymocowanych drutem do deski. Zaczynamy przebiegać się przez skałę.

Pracowaliśmy tylko w dzień, ponieważ tylko w dzień, ze względu na światło, można było układać skały na strychu. Trzy ekipy jednocześnie były w akcji. Zmiana co dwie godziny. Pierwsza to ci na dole, w tunelu. Jeden na czole, „kopacz” — on kul skałę. Nie było to łatwe. Trzeba było pracować leżąc. Tunel nie mógł być większy ponad konieczne rozmiary do przeczyszczenia się. Za kopaczem leżeli ci, co odbierali od niego skałę, nasypani do woreczków i podawali następnym. Skład tej ekipy powiększał się w miarę wydłużania się lochu. Ostatni z tej ekipy stał u wylotu tunelu, na niebie słońce, i przyrzucał worki do opuszczonej z góry linki. Druga ekipa transportowa. Skład — 5 ludzi. Jeden stał nad zrybnem i wyciągał na linie wiązane w dole woreczki, które następnie systemem łańcuchowym podawane z rąk do rąk przez trzech ludzi przechodziły do korytarza, gdzie na przewroconym w poprzek kaloryferze stał ostatni z ekipy i znowu przyrzucał je do linki opuszczonej ze strychu. Trzecia ekipa także 5, pracowała na strychu. Pierwszy z niej siedział na belek wiązanych dachowego, wyciągał z dołu worki i podawał kolejno dwóm następny, którzy przesyłali je do stojących na chodniku. Przenosiciele musieli chodzić na wachkanach desek palupa jak po linie, każdy nieostrożny krok z ciężarem groził stąpieniem na gipsową powłokę, która zalałaby się wtedy jak opłatek. Taka dziura w suficie kładła całą sprawę od razu. Dwóch pozostałych przenosiło worki do końca chodnika nad całym budynkiem i tam układało ich zawartość wykorzystując każdy z mniejszych kawałków miejsca. Ostatni składował skałę, wyjmował z worków i ostrożnie układał na deskach. Żaden nie mógł upaść, by nie wywołać hałasu, a tym bardziej stoczyć się z chodnika na palupa, bo znowu dziura, i to już nie u nas, a nad obcą ciałą. Raz tak się zdarzyło. Przebił sufit i wpadł do naszej dawnej osmy celi. Na szczęście był to młody kawalek i tragicznie tym wypadku zaszkl, kiedy mieszkający celi wylegli na słońce. Udało się przy pomocy Boulanger'a błyskawicznie odsukać go i zlikwidować dziurę w suficie, która stała się jakos nikt na nią nie zwrócił uwagi. Ekipa na strychu pracowała w skarpach i poruszała się kocimi krokami. Czysta, cisza, cisza — oto było hasło.

Po paru dniach, kiedy ekipy się zgrywały, worki jechały na górę bardzo szybko i trzeba było ekipę na strychu powiększyć o dwóch ludzi, którzy tylko układali na chodniku zawartość przyniesionych im worków, i nie nosili ich sami przez długość całego strychu — duży zaryk na czasie.

Puste worki walczyły tą samą drogą do szczytu. Robota rozpoczynała się po apelu porannym i trwała do obiadu, po czym — po krótkiej przerwie — do apelu wieczornego. W miarę posuwania się budowy praca stawała się coraz trudniejsza, ze względu na brak powietrza, i trzeba było ekipy podziemić zmieniać co godzinę. Ludzie byli osłabieni z głodu i zdarzało się, że mniej wytrzymałych wyciągano z tunelu. Nie, niestety, nie mogliśmy wymyślić, by urządzać wentylację.

W kilku miejscach, trzeba było jednak szlukać, gdyż palupa się opierała — użyto do tego desek z łożek. Po osiągnięciu kilkumetrowej, zostały zmontowane szaki na linie do wyciągania ziemi wzdłuż już wybudowanego tunelu, co pozwalało na zmniejszenie składu ekipy podziemnej; trzeba było zwrócić uwagę na zużycie powietrza. Na czele jako kopacz przeważali Polacy, ponieważ była to praca najcięższa, i od tego zależała szybkość budowy. W szczególności Kłon i Ostrowski dokonywali wzrost cudów, wgrzając się w skałę.

Starsi i słabszy i reperowali worki i trzymali warty na korytarzu, alarmując umówionymi znakami rzadkie zresztą wizyty Niemców. W takich wypadkach pracę trzeba było przerywać, ekipy jednak pozostawały na miejscach, to jest w tunelu i na strychu, maskowało się tylko wejście do szczytu, zasuwając łożka oraz zakładano się deską dziurę na strych. Ekipa druga szła w rozrypkę.

Najwięcej kłopotu sprawiało zacieranie śladów wyposzonego skały, trzeba było wyznaczyć specjalnych dwóch ludzi, którzy musieli nieustannie zamykać, zbierać najdrobniejsze okruszyny, skała była biała i zostawiała biały kurz. Pracowaliśmy w biegnie, bo z szczytu wychodziło się jak z młyna.

Pewnego dnia przeżyliśmy moment rozpaczy strachu, gdyż kilka razy nad tunelem, już po przejściu pod drogą, przejechała cysterka asenizacyjna. Pod tym ciężarem tunel mógł się zawalić. Jednak wytrzymał. Gumiński odnotował spontanicznie tańiec zwycięstwa.

Posuwaliśmy się jednak wolno, o jeden, a czasem — z trudem — o dwa metry dziennie. Zależało to od rodzaju skały. Trafiały się często duże kawały krzemienia, które trzeba było wykulić z wapnia jak orzechy z czekolady. Były czasem tak wielkie i ciężkie, że przeniesienie ich przez ciasny tunel sprawowało wiel trudności i kłopotu. A później jeszcze trzeba było wyciągać na strych. Raz trafił się nawet taki, że zabokował nam tunel. Ciał dzień został stracony, zanim rozbiłszy go na części. Nie było do tego żadnych narzędzi, więc pilowało się twardymi kamieniami — można powiedzieć, grzybieli go rękami.

Ciegle wisiła nad nami groźba, że tajemnica nie da się długo utrzymać. Było rzeczą i tak zdumiewającą, że do tej pory

ALEKSANDER STPICZYŃSKI

CHOLERNY ŚWIAT (3)

POWIEŚĆ

nikt z poza naszej celi i Boulanger'a nawet nie domyślał się, co się tu dzieje. Trzeba było budować przysiężkę, zdecydowanie więc prowadzić prace także w nocy. Trudno było namówić na to, cale to mieszane towarzystwo, ale dla siebie przekonani. W nocy nie można było wynosić ziemi na strych, więc w sypialni, w wejściu do tunelu został wykopany „magazyn”, do którego składowano się ziemię wydobywając w ciągu nocy, następnie, już w dzień, ze zdołano szybkość wynosić się ją na strych.

Ważną rolę w tej akcji odegrał Jurek Iwaszkiewicz.

— Ja stane na kaloryferze, zobaczcie jak worki będą fruwać!

Istotnie fruwały. Jest wysoki i silny. W jego wysportowanych rękach worki wiały się same i błyskawicznie znikły na strychu. Dzięki niemu tempo pracy wzrosło znakomicie.

Projektowane początkowo wymiary tuneli 60 x 50 cm. uległy powiększeniu. Jeden bowiem z naszych kompanów, kupiec z jagińskiego małego francuskiego miasteczka, był, pomimo głodu, jeszcze tak gruby, że nie mieścił się w tunelu. Wystąpił więc ze słuszną pretensją — przecież on też musi wyjść. Rzecz jasna, tunel trzeba powiększyć. Miało to jednak też dobrą stronę, że kopacz szybko posuwał się naprzód, mając więcej miejsca do pracy. Powiększało to objętość wydobywanej skały i zachodziła poważna obawa, że nie starczy miejsca na strychu, było więc w projekcie w końcucej fazie, chować ziemię do sieniaków, wyrzucając z nich słomę.

Nasze wzorowe sprawowanie się zostało należycie ocenione przez władze obozowe i obecnie już możemy wychodzić z bloku w ciągu dnia.

Wiosna w pełni, korzystamy więc z każdej wolnej chwili, by pograć się na stońcu. Po wieczornym apelu jednak jesteśmy zamknięci. Wniewidnie z innych bloków spacerują jeszcze do znużeniu i trochę zdziwili się, że nie mamy grobowych min z powodu tych restrykcji. Zaczynam się nawet obawiać, że nasze rozczarowanie zawsze będzie i dobrym nastrojem, być może, że rozczarowanie. Apeli odbywamy już na placu wspólnie z całym obozem.

Jest to zawsze moment zagrożenia, w celi zostaje wprawdzie dwóch sprzątających, ale niedawno był wypadek, że Niemcy w czasie apelu przeprowadzili rewizję na jednym z bloków. Nie poradzić na to nie można, pocieszamy się tylko tym, że do tak posusznych i grzesznych więźniów nikt o nie pretensji mieć nie może. Na nie nie narzekamy, wszystkie zarządzenia wykonujemy błyskawicznie i bez szemrania. Jesteśmy wzorowi. I pogodni.

Poza tym apeli groźne są i dlatego, że musimy się wszystkim pokazywać. Oto na przykład dzisiaj nasz Gajewski stoi na skrzydle szeregu. W białych butach. Wyszlił właśnie na chwilę przed apelem z tunelu i zapomniał odcisnąć buty z białego, tak zdradliwego, pyłu wapiennego. Wciążemy go do środka szeregu, na szczęście apeli jeszcze nie zaczął i mamy chwilę czasu odcisnąć go. Ktoś jednak już.

— Gdzieś ty chodził, że jesteś taki zablony?

— Skrobałem ścianę.

— Widział, on taki wrażliwy — tłumaczmy się ciekawskiemu — zdawało mi się, że nad jego łóżkiem są pluskwy. Pomóż nam go odcisnąć, żeby Niemcy nie zobaczyli, bo chłopaka nabiją.

Tym razem sytuacja uratowana i lekcja, jak trzeba się pilnować.

W piękne pogodne dni spacerujemy po placu. Za murem przylegającym do ulicy po drugiej jej stronie jest kafejka. Widać z placu szklę „Café de la Victoire”.

Dotychczas szły nam przypływały na atak goryle i złości, ci, co z ironią, szliśmy los urządził sobie kpinę. Teraz jednak uważamy napis za dobrą wróżbę — już niedługo — i zwycięstwo, jeśli ktoś trochę widać na duchu, będzie popatrzył na szklę, „Victoire”! Widać także koronę wisni, osypaną białym kwieciem. Niedługo już można będzie zanurzyć twarz w miękkich, pachnących płatkach.

— Po takich wrzuceniach będzie się szybko do pracy z nową siłą i wiarą.

Przyjeżdżają nowe transporty więźniów. Spotykam wśród nich znowu dwóch starych znajomych. To pułkownik Langer i major Ciekły. Są wymierzani i wygolieni. Nie mogą, niestety, powiedzieć ich, w obozie jest głód. Trzymają się jednak wspaniale i nam jeszcze dodają ducha.

— Wytrzymamy wszyscy — mówią — trzeba tylko zaciąć zęby i być na bieżąco.

Widzę, jak widać na spacer po placu. Mała, okrągła, czerwona baretki Legii Honorowej w klasie marynarki pułkownika przetrwała przez więzienia i transporty i wzbudza szacunek

współwięźniów, szczególnie Francuzów; w tej wyklejonej przez los społeczności na to swoją wymowę. Owiadają mi, że współpracowali z francuskim ruchem oporu, ale ostatnio już Niemcy tak zaczęli się, do której chcieli ich schwytać, że musieli uchodzić do Hiszpanii.

Montaż trasy przez zgraniec był tak fatalny, niedbalby czy niecierpliw, że przy przekraczaniu linii granicznej wpadł na przygotowaną zasadzkę i zostali aresztowani. Kogo Periphan! Już trzy tygodnie, jak są wożeni. Cytydela w Perpignan, Gestapo w Paryżu i teraz tunel.

Pułkownik bierze mnie pod rękę.

— A nie rozgląda się pan, czy nie dąbiły się stąd uciec?

Mam na końcu języka, że już za kilka dni będziemy wolni. Ale nie mogę powiedzieć o budowie tunelu. To nie brak zaufania, tak nakazuje ostrożność, no i zobowiązanie zachowania tajemnicy.

Myszę już od dawna o ucieczce i mam pewne plany, dojrzały tylko.

— Co to takiego, niech pan nam powie, jesteśmy gotowi na wszystko, byleby stąd się wydostać.

— To są jeszcze projekty i wolać na razie o nich nie mówić. Mogę tylko powiedzieć, że jeśli to, co zamysłam, wystrzeli, to na Wielkanoc będziemy wolni. Powiem panom we właściwym czasie, będzie gotowi każdej chwili.

Chocoby zaraz, może pan na nas liczyć. Nie ma co zwlekać. Niech pan się myśli przed.

Myszę, że mogę obiecać Wielkanoc bez krat i drutów.

Tak. Tunel skończymy przed świętami, więc chyba mogę obiecać. Już pomyślałem o tym, że ostatniego wieczoru przed wyprawą wszyscy Polacy będą zawiadomieni, by byli gotowi. Będziemy próbować na tę decyzję nocą sprowadzić ich z innych bloków do nas, by mogli wyjść razem. Przewiduję protesty naszej celi, ale postanawiam zastosować wtedy mądry szantaż. Adresy użyję, że nam się zdziwią Polaków i już wiemy, że wystraszają nas nieprzewidywalnego zamiaru tak czy owak.

Nie zostawimy przecież Polaków za drutami, kiedy droga będzie otwarta.

Szesnaście dni budowy nad ranem, grzyliśmy jeszcze we dwójkę z Wiktoorem Lebrunem twardy wapien. Długi jest Wiktor, za to chudy jak szczeniaki, więc składa się w szczyr, uparty jest i zawzięty na wolność wiec nie, że krwawią ręce, duszno jak w piekło, jeszcze trochę, więc dalej, a dalej — to bliżej wolności.

Lkopac jak najwięcej i przenieść do „magazynu”, jutro worki pojedą na strych. To można robić we dwóch, jeden kopie i co ukopał nakłada do worków, drugi transportuje przy pomocy sanek przez tunel do magazynu. I tak na zmianę. Dziś było wyjątkowo tempo, więc ekipy bardzo zmęczone poszły spać. Zostaliśmy tylko we dwóch, czuliśmy się jeszcze dość silni.

Wreszcie koniec na dzisiaj.

Odskądami narzędzia i opieram głowę o skałę. Jestem zmęczony głównie brakiem powietrza, ale radość jest wielka, radość z dokonania tak nieprawdopodobnego trudu.

Patrzę długą chwilę, wzrok bierze wzdłuż porażonych ścian. Tunel ma kształt wnętrza wielkiej rurki o przekroju nieregularnej elipsy. Trzy zarówki zawieszono w trzech punktach jego długości, nie oświetlając całego lochu. Tworzą trzy jasne, zaczerwienione, skalistie góry, oddzielone od siebie przerwanymi ciemnymi mrokiem. Nie jest idealnie prosty, biegnie linia lekko wycięta na bok, miejscami wspinia się troszkę do góry, to znowu opada w dół. Widać od razu miejsce pracy Kłona, który w pasji zapomina czasami o utrzymaniu kierunku czy poziomu. Później, spostrzegł się, wyrównuje to, podważając węzełek.

Ala ogólny kierunek i poziom jest utrzymany. Od końca, gdzie leżał wiat, przy którym wypęła właśnie Wiktor.

Światła zarówek nie dają półkoni. Popłupane we wszystkich kierunkach małymi płaszczyznami ścian i sklepienie, pocieś się ostrymi planami białej, splecionej w fantastyczne formy z czarnymi zalamaniami. Gdzieśniedzieje ze ścian i sufitu, nagle wycięte się stają sylwetki krzemienia, wydające jak zjawiskowe, różnokierunkowe, nigdy nie istniejące stalaktyty. Feeria kształtów jest niepisana. Są martwe w swoim bezruchu, a żywe, to martwość, która daje życie. Siła tego kontrastu przenika głęboko do mózgu i serca. Są jak pieśń potężna i najdźwięczniejsza a bezgłosna, pieśń o wolności.

Cisza jest zupełna. Tunel czeka, czeka w czujnym napięciu, z otwartymi oczami, wsłuchany w groźę zbrodni tam na górze. Czeką na nas.

Czuję szarpnięcie sznurka, którego koniec trzymam w ręku.

To Wiktor daje znać, że już wyszedł i możemy mierzyć. Mierzmy tak codziennie po skończonej robocie. To najbardziej emocjonujący moment. Jak daleko posunęliśmy się naprzód? Ile jeszcze metrów zostało — ile dni niewoli, upokorzeń, głodu i meki?

Przykładem do ślady koniec sznurka. Wiktor go napina. Szarpnięcie — gotowe, zmierzono. Wyczołguje się w tunel i stąd jeszcze raz patrzy przez chwilę w głąb, z tej strony tunel jest inny, inne kształty mają porażone ściany, inaczej wygląda jego głęboka perspektywa, ale jest równie smukły i harmonijny w łagodnych wycięciach i tak samo przyjazny i bliski.

A przyjemnością myślę o tym, że za cztery godziny znów będę w jego białych skałach. Już tutaj człowiek czuje się wolnym. Na górze mierzymy sznurkiem, na którym Wiktor zrobił węzeł — znak donosici. Już 20 metrów. Jesteśmy więc już poza blokiem Petit Casino. Tracę idzie tak dobrze, że na dobie pozostawiamy się teraz 4 — 5 metrów, a więc jeszcze 3 dni.

Wychodząc mamy grupami po czterech — losowanie decyduje będzie kolejność wyjścia. Dla każdej grupy przygotowany jest szkielet, przerywany z mapki departamentu, jak ma jeden z więźniów i nakazany kierunek odmarszu. Każda grupa w inną stronę i innymi drogami.

Tężo dnia niesieckiego, po porannym apelu, kiedy ekipy ubrane do pracy zajmują stanowiska, słyszemy nagle szybkie, bardzo szybkie i głośne kroki na głównym korytarzu. Suk w ułok podkutek butów zbliża się prędko i nieubłagane. Z trzaskiem rozwala się drzwi i kilkunastu Niemców z psem wpada do celi.

Nad wejściem do szczytu zsunęło się jeszcze przycze, ale w ułamku sekundy zostają rozwalone. Groźny wilczur rzuca się na najbliższych stojących z wściekłym szekaniem.

Zaczyna się piekło.

Natychmiastowe zalamowanie przez nasze posterunki nie pomogło. Niemcy, mimo zamaskowania otworu, znaleźli go natychmiast. Musieli wiedzieć.

Byliśmy synpici. Awantura była niesłychana. Cały oboz wrzał.

Oczywiście zaraz zostało wydane zarządzenie — nie wolno wychodzić nawet na korytarz — przy drzwiach posterunek z pistoletem maszynowym.

Stoje naprzeciw Jurka, dzieł nas wspólna przycza. Jeszcze w pierwszych dniach pobytu tutaj, robiłem tekturowego pudła talii mądrych kart. Jurek na kocu stawia nasien. Jest opasany i groźny, ciemna jego marsowa twarz jest prawie czarna. Lecutkie tekturki układa na kocu ciężko, jak sztaby ołowiu.

Nie umiem myśleć o niczym, mam pustkę w mózgu. Cios jest tak silny, że paraliżuje mi nerwy.

Co będzie? — pytam.

— Oprzeczoni, jeśli jest już tak źle, że gorzej być nie może, wtedy zaczyna się lepiej. Co będzie? — Pocekal pasjans pokaze — śmieje się. Śmiech jest szatański.

W pół godziny później — apel nadzwyczajny. Stojmy stłoczeni, wszyscy w celi trzynastej. Jesteśmy zaskoczeni, że Niemcy nie są wściekli. Odwrotnie, o dziwo, robią wrażenie zadowolonych. Komendant obozu, stary kapitan, nawet z pewnego rodzaju dumą mówi:

— Muszę przyznać, że praca w tych warunkach była bardzo piękna, sprawną i szybka — elektryczne oświetlenie — kreśli głową — po prostu metro — ale to jest wolność. Tym razem przegraliście panowie. Nie będę szukał winnych, winni jesteście wszyscy i poniesiecie zasłużoną karę. Wyrok będzie ogłoszony. Na razie pozostajecie w więzieniu.

Nie mogę ukryć, że przedmowa tego słuchaliśmy, mimo grozy sytuacji, z pewną przyjemnością. Taka pochwała. Po prostu metro! Zostaliśmy więc „equipe de metro” — tak nazywał nas cały oboz. Przyjęła się także nazwa „Tunelisten”, jak nazywali nas Niemcy.

Zaraz po apelu zostały usunięte z celi dwunastej i trzynastej wszystkie sprzęty, to jest stoły, ławki i pręty, zostawiono nam tylko sienne i kocy. Ciepła czternasta, czele naszych ataronych nadziei, została zamknięta i zabita deskami.

Spaliliśmy na ziemi w niesłychanej ciśniecie. Chleb i woda, co trzeci dzień gorące poronje, bez prawa wyjścia do umywalni i ustępu, wstawiono do celi kubły.

Razem z przyczą wyciekał mój kalendarz — robię nowy na ścianie.

Zaczyna się od dzisiaj, poniedziałek 29 marca. Dzień ten zakreślił ołówkiem na czarno. Czarny poniedziałek.

Według pomiarów niemieckich osiągnięliśmy 27 i pół metra. Czyszy z Wiktoorem tej pamiętnej nocy sznurkę za mało na ciagnęli, czy pomylili się w pomiarach — nie wiadomo, ale poprawka niemiecka była małą gwiazdą radości na ile czarnego białka ponurej rzeczywistości.

Zjechała z Paryża komisja złożona z oficerów Gestapo. Ogłądali, fotografowali, chwytały się za głowy i orzekli: trzeba ich rozstrzelać, to nie jest zwykła próba ucieczki, przez ten tunel mógł wyjść cały oboz — to sabotaż.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przedstawicielstwa „Orzeł Biały” w Argentynie i Kanadzie

Ukazyjący się w Brukseli „Orzeł Biały” miał dotychczas swoje przedstawicielstwa w W. Brytanii, Francji, Holandii, w Libanie i Norwegii, w Szwajcarii, Szwecji i w Włoszech. Do rzędu tych krajów dochodzą obecnie ARGENTYNA i KANADA jako pierwsze z polskich zamorskich terenów, na które kieruje się emigracja polska.

W ARGENTYNIE przedstawicielstwo „Orzeł Biały” objęła — Składnia Książki Polskiej, — Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES. Prenumerata „Orzeł Biały” w Argentynie wynosi kwartalnie 6 peso, półrocznie 12 peso. Zgłaszając prenumeratę i przysyłając należność należy pod wskazanym wyżej adresem.

W KANADZIE przedstawicielstwo „Orzeł Biały” i koloportaż objęła POL-RIE, Ontario. Pod tym adresem prosimy kierować prenumeratę i przysyłać należność. SKA AGENCIA KSIĄZEK I CZASOPISM, 762 Queen St. East, SAULT STE. MARIE, Ontario. Prenumerata w Kanadzie wynosi kwartalnie 1.60 dol., półrocznie 3.20 dol. Na życzenie wysyłamy pod wskazanym nam adresem plany reklamowe okazowe, zarówno z centrów z Brukseli, jak i z naszych przedstawicielstw.

Posuwaliśmy się jednak wolno, o jeden, a czasem — z trudem — o dwa metry dziennie. Zależało to od rodzaju skały. Trafiały się często duże kawały krzemienia, które trzeba było wykulić z wapnia jak orzechy z czekolady. Były czasem tak wielkie i ciężkie, że przeniesienie ich przez ciasny tunel sprawowało wiel trudności i kłopotu. A później jeszcze trzeba było wyciągać na strych. Raz trafił się nawet taki, że zabokował nam tunel. Ciał dzień został stracony, zanim rozbiłszy go na części. Nie było do tego żadnych narzędzi, więc pilowało się twardymi kamieniami — można powiedzieć, grzybieli go rękami.

Ciegle wisiła nad nami groźba, że tajemnica nie da się długo utrzymać. Było rzeczą i tak zdumiewającą, że do tej pory

Ukazał się nowy, podwójny, numer największego polskiego miesięcznika literacko-kulturalnego na obczyźnie, zawierający bogaty wybór szkiców, opowiadań i sprawozdań najwybitniejszych autorów polskich i obcych:

Numer zawiera:

ANDRZEJ BOBKOWSKI — List STANISŁAW GRZYBOWICZ — Środki polityki gospodarczej. GEORGE ORWELL — Raffles i panna Blawish. KAROL ROGALINSKI — Scherzo „Infarnale”. JANUSZ JASIEŃCZYK — Półmiesiąc zazenowania. ROGER RACZYŃSKI — Zapiski. WŁADYSŁAW POBOG — MALINOWSKI — Na rumuńskim rozdrożu (dok.). PIOTR NIEMIRA — Struktura niemieckiego życia politycznego. MARIA CZAPSKA — 2 tamtego świata. JOZEF LOBODOWSKI — ze „Złotej Hramoty”. ALEKSANDRA JANTA — Raport prof. Kinsyja i inne.

Ze względu na zwiększoną objętość numeru (tłpice - sierpień) cena pojedynczego egzemplarza wynosi:

w W. Brytanii — 5 sh., — we Francji — 150 frs.

Prenumerata roczna

w W. Brytanii — £ 1.10.—, — we Francji — 800 frs.

PRZEDSTAWICIELSTWA:

w W. Brytanii: „GRYP” Publication, Ltd.: 59/61 Hatton Garden, London, E.C.1.

w Francji: Librairie „LIBELLA”, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IVe.

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

0120a

RYSZARD MOSSIN

Olimpijskie zwycięstwa i porażki

Londyn, w sierpniu.

Wszyscy ci, którzy przyjechali do Londynu na XIV Igrzyska Olimpijskie z O-
limpiadą wypadnie najgorzej z dotychczasowych, że Anglicy nie potrafią jej odpowiednio zorganizować, a co, nie dajęcy przed jej rozpoczęciem żadnych oznak zainteresowania, nigdy nie zapelni olbrzymich trybun — doznali już po pierwszym tygodniu Igrzysk, gdy zakończyły się zawody lekkoatletyczne i pływakie, wielkie go zawodu. (Do grupy tej zaliczali się przede wszystkim przybyłe z krajów z „Złotą kurtyną”, a do nich również odpowiednio wstruszeni dziennikarze, z reżimowych pism warszawskich.) Olimpiadę oglądali ponad milion osób, stadion był tak samo pełny w dniach upału jak i w dniach ulewy. Dochód z Igrzysk po pierwszym tygodniu był o 350 tys. funtów wyższy niż w Berlinie, a ilość widzów przewyższała frekwencję z r. 1932 w Los Angeles.

Na 33 konkurencje lekkoatletyczne Amerykanie zagarnęli 11 złotych medali, Szwedzi 5, Holendrzy 4, Węgry i Francja po 2. W Brytanii, Australii, Japonii, Belgii, Czechosłowacji, Włoszech, Finlandii, Austrii i Argentynie po 1. Bywały jednak konkurencje takie, jak 110 m. przez płotki czy rzut kulą, gdzie na podium olimpijskim

stałowie po trzech Amerykanów. Szwedzi szklili tej dokonali raz w biegu 3 km. z przeszkodami.

Dwa razy zagrano na stadionie hymn brytyjski: po zwycięstwie młodego studenta z Jamajki Winta w biegu na 400 m. i po zwycięstwie 4x100. Wint i Mc Kenley, dwaj przyjaciele koleżeń z ławy szkolnej z Jamajki spotkali się w finale 400 m. Wint studiuję w Anglii medycynę, w czasie wojny był oficerem lotnictwa, Mc Kenley studiuję w Ameryce. Wint był w finale pierwszy, Mc Kenley drugi, a czarny Amerykanin Whitefield, który poprzednio wygrał 800 m., trzeci.

Drugi raz hymn brytyjski grano za zwycięstwo „prawdziwej” drużyny b